Nr. 35. Lwów — 1895. Cena 10 ct. w. a.

WESOŁY KURJEREK

ILLUSTROWANY.

Wychodzi dwa razy na miesiąc.

Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry**, czasopisma *illustrowanego*, wychodzącego we Lwowie, otrzymują **Wesołego Kurjerka** zupełnie **bezpłatnie.** Również otrzymują *bezpłatnie* **Dodatki.** Prenumerata **Gońca i Iskry** wynosi kwartalnie 2 *złr.* wraz z **Wesołym Kurjerkiem.**

Adres Redakcji i Administracji: *we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.*

Numer „Gońca i Iskry" rozpoczynający ośmnasty rok wydawnictwa, wyjdzie 23. stycznia.



W salonie.

— Jaki to duży wachlarz...
— Umyślnie — aby starczył na dwoje...

Od wydawnictwa.

Poczynając od niniejszego numeru, dawać będziemy porządkowy numer, licząc od pojawienia się pierwszego numeru *Wesołego Kurjerka*, który stanowi, jak wiadomo bezpłatny dodatek dla prenumeratorów *„Gońca i Iskry"* a którego pojawienie się, po dokonanej zmianie w całem wydawnictwie miało miejsce w październiku 1893. r. To samo zrobiliśmy z początkowym numerem *Gońca i Iskry*, o czem bliższe wyjaśnienie znajduje się w tymże piśmie.

—

Przypowieść o lwowskim teatrze.

A gdy Dobrzański zwany Janem czwartym, także Janciem przezywany położył się do grobu, nastąpiła córka jego Celina. A Celina namiętna była i pożądliwa, atoli gładkością ciała nie grzeszyła i oddawna staropanieństwo uprawiała. I pomna ta niewiasta chciała dyrektorstwa, chciała męża i chciała tego wszystkiego, co daje teatr i, co mąż daje. I robiło się w teatrze lwowskim niekształtownie i ciemność poczęła się rozpościerać nad fluktami Melpomeny. A Celina upatrzyła sobie takiego, co miał podzielić z nią łoże małżeńskie i intratne rządy w teatrze. A tym upatrzonym był Niewiadomski. A Niewiadomski młody był i cukierki jeść lubiał i na słodko smakował sztukę, a gorzkość połykał od Celiny, która go swoim kosztem aż do Włoch posłała po niebieskie migdały. A Niewiadomski migdały jadł i wszystko jadł, i rad za biurkiem dyrektorskiem siadał. I wyglądał w tem wszystkiem, Niewiadomski, jak kozioł w kapuście, ale Celiny na małżonkę napocząć nie chciał. Tedy krewni przyparli Niewiadomskiego do muru i rzekli mu: oto Celinę dajem ci za żonę, jedno bądź mężem mocnym i odprawuj rządy teatralne, bo tak nieboszczyk Jan czwarty postanowił.

Tedy rzekł Niewiadomski: ktożem ja? albo, co za stan mój? albo, co za dom ojca mego, żebym był zięciem królewskim? A rzekłszy to, wykręcił się na pięcie i czmychnął wśród muzykanty, gdzie dotąd czmycha i słodkie układa melodje. I stało się, gdy przyszedł czas, że córka Janowa rozmiłowała się w człeku marnym, co się kołatał po świecie sam nie wiedząc dla czego i po co. I pojęła go Celina za męża i opuściła państwo teatralne i zmarła potem w ubóstwie a nędzy nie pozostawiwszy, ani męża, ani żadnego potomstwa, którego jego było, ani dobrej pamięci u ludzi, ani pożytku z tego, że żyła.

A był też w tem państwie teatralnem syndyk, który się zwał Szydłowskim, a na imię mu było Henryk. A syndyk syndykował samemu sobie, syndykując po niewieścich garderobach, oblizując się abo wprost konsumując te uciechy i słodycze, których w teatrze moc jest wielka.

I z syndyka stał się wkrótce Szydłowski spólnikiem i pochował Celinę uroniwszy łez pięć i uśmiechnął się do Barącza. Tedy wstał Barącz i szedł do teatru i drżał na ciele ze strachu. I rzekł mu Szydłowski: nie bój się, bo cię nie znajdzie już ręka Dobrzańskiego ojca Celiny, a ty będziesz królował nad teatrem, ja zaś będę wtórym po tobie. I uczynili z sobą obaj przymierze i Barącz nic nie robił, a Szydłowski robił to, czego robić nie należało. A Barącz był

lichym komedjantem niemieckim i do polskości nienawiść żywił, a udawał patrjotę. Tedy mówili ludzie: ażaż teraz nastąpiło panowanie głupiego, który sam jeden więcej zrobi złego, jakby mogło zrobić czternastu mądrych? A ludzie prawdę mówili, bo siła złego robiło się, przez to, że się nic nie robiło.

A był niektóry mąż we Lwowie, który miał majętność na *Dzienniku Polskim*. A było imię onego męża Schmitt, który Musztardka przydomek nosił. A Musztardek zapragnął zmienić obyczaje swoje i z marnego kancelisty rachunkowego pożądał przemienić się w dyrektora teatru. Przetoż ziajał nienawiścią do Barącza, czynił się szalonym w swej złości, kreślił znaki na bramach teatralnych i puszczał śliny na brodę swoją, a w *Dzienniku Polskim* szakala głosem śpiewał, a śpiewał. Tedy Barącz, co już z rodu głupkowatym był, zbaraniał do cna. Przetoż syndyk na Schmitta palcem kiwał, a do Barącza rzekł: nie mieszkaj więcej na tym zamku teatralnym — idź, a wróć się do domu swego, albowiem Musztardek w rękach swoich włócznię ma. Tedy odszedł Barącz z zamku teatralnego nie zdziaławszy nic, gdyż sam był niczem, a z niczego ino Bóg jest mocen coś zrobić, ale Pan, pożytecznem znajdował, aby takie Barącze dla nauki innych, w nicości pozostawić.

I rozpoczęły się rządy Schmitta. A były to rządy głodu, chłodu i chowania się po pieczarach przed tymi co wołali; jeść! A Schmitt miał się za głowę teatralnej imprezy — a głowa jego podobna była do głowy chińskiej, co myśli, że wiele ma, atoli wiele tam nigdy nie było — za to pyszność, zarozumiałość, obżarstwo i pożądliwość na cudzą godność, rozpanoszyły się w skorupie Schmitta odczuba aż do pięty. Tedy mówiono: zły człowiek z tego Schmitta jest i ludzkich w nim cnót, ani na lekarstwo, a zaciekłość w nim tak sromotna, że gdyby mu powiedziano: Schmitt! ażali chcesz, aby Polska była w którejby, żyć mogli nieprzyjacioły twoje — Schmitt by odrzekł: nie pożądam Polski żadnej, a chcę, aby mych nieprzyjaciół djabli wzięli, bo ja ich wziąć nie mogę.

I stało się to, co się dzieje od początku świata, że kto zapragnie być wielkim, a jest małym, pęknąć musi i para głupstwa, a mizerność wyjdzie z niego i zniknie bez śladu, jak znika chrabąszcza dech, którego nikt nie poczuje nigdy. A marzeniem Schmitta był balet w jakowym topiły się zwierzęcości ciała jego, choć chyrlawy był i na bezłydkowych nogach chadzał. Tedy sprowadził z lupanarjów włoskich mamzele, które skakały po lwowskiej scenie czyniąc wstyd, a hańbę polskiej sztuce i przyrodzeniu ludzkiego smaku.

A Schmitt czując się małym, zapragnął dużym być i postanowił przedzierzgnąć się w gubernatora teatralnego. Owo rzekł do aktorów swych, którzy stali przed nim: słuchajcie niewolnicy moi — ja pan wasz, izaż wam daję role

Na ulicy.



— Ależ ja pana nie znam! co pan chce?!...
— Właśnie, pragnę się pani przedstawić...
— Jakto — na ulicy?...
— No, bo nie wiem, gdzie pani mieszka...

i winnice, a przetoż robić z wami mogę według woli mojej i według chcenia mego wynagradzać was, albo karać będę, bom ja wasz pan i władca. I poruszyło się na wnętrzu dusz aktorskich, które zazwyczaj śpiące, a trawiące wszystko są. I zebrali się wszyscy, którzy byli utrapieni, i wszyscy, którzy byli markotni, i wszyscy, którzykolwiek byli w gorzkości serca do Schmitta. I stał się cud w lwowskim ludku aktorskim. A cudem tym była solidarność, która się zamieniła w bezrobocie aktorskie. I strejkowcy wybrali nad sobą trzech książąt, aby chadzali i wychadzali przed ludem. A książętami tymi byli: Kwieciński, Zboiński i Skalski, którzy sumiennie chadzali i wychadzali. I zapalił się gniewem Schmitt, a rzekł: syny złośliwe, a uporne, azaż wiem, jako siejecie ku zelżywości i ku pohańbieniu, a sromocie mojej — przeto zgniotę was. Ale rosła siła w strejku aktorskim, przerosła nawet głowy aktorów i zgniotła Schmitta na musztardę. Tedy pohańbienie dyrektora było wielkie, a tak głęboką wykopało przepaść, iż już nikt, ani przeskoczyć, ani jakowemś materjałem zasypać jej nie był zdolen. A dalsze panowanie Schmitta było ponure i nędza poczęła wyglądać ze wszystkich dziur, jakowych w teatrze jest moc ogromna. I stało się tak, że Schmitt ino pomykał po teatralnych manowcach, a ścieżkach zakulisowych kryjąc oblicze swoje z gniewu, który chrobotał jestestwem jego i przyciskał kieszenie które puste były dla teatru, bo odgarniano z nich za wiele na różne dyrektorskie wygodzenia, a wyderkafy, jakowe w łączności z teatrem i jego dobrem nie były.

Tedy stało się tak, że Schmitt stał się niemożliwym, a ruina groziła ogólna. Przeto widząc Schmitt zgubę swoją, i pohańbienie swoje, i w szmaty podarte imię swoje, obrzucane przekleństwy i śliną pokrzywdzonych—szczezł z dyrekcyi teatralnej. A nie wiadomo, któremi drzwiami Schmitt wyszedł, albo wyniesiono go i na jakowych kondycjach. A radość zapanowała wielka w rzeszy teatralnej. I chciano wydać bal na uczczenie tego radosnego wydarzenia — ale Schmitt zostawił aktorów bez monety przeto radować się tylko mogli w swojej goliźnie.

I nadszedł inny czas, inny człek, a w nim inny dyrektor. A dyrektorem tym jest Przybylski, co się popularnie Żyziem zowie. A nowego dyrektora przyszłość leży w jego własnych rękach i w rękach mądrych, a dobrych ludzi, przez których Pan błogosławi owocnej, a uczciwej pracy. A to się wszystko pokaże w niedalekiej przyszłości, która jeszcze zakryta jest.

Abdulah.

—

Zawsze to samo?...

Pada deszczyk — z ciemnej chmury,
Pluska po kałuży,
Spojrzeć dołem, — czy do góry,
Jednakowo służy
Krótkie życie, — pełne cienia,
Przeraża w nim słota:
W pokolenie z pokolenia,
Brudzi człek dla złota.
Z ziemi powstał, — skryje w ziemi,
Skarbów nie zabierze;
Bogacz pyszni — nad biednemi,
Wydartemi pierze!
W lepsze życie — żyje wiara,
W życie a bez końca,
Człek człekowi — wydrzeć stara,
Mały promek słońca!
I na świecie i dla świata,
Zwierząt mnożą stada;
Z ofiar biednych i ich kata,
Społeczeństwo składa!
Wybór trudny — choć świat światem,
Życie ciężką karą;
Nie każdemu — zostać katem,
Ciężko być ofiarą!!!

A. K.

—

Czem jest sława?

Król Humbert opowiadał kiedyś, co go spotkało na ostatniem polowaniu.

Prawie u szczytu góry na wązkiej kamienistej ścieżce ujrzał przed sobą staruszka, dźwigającego z mozołem pęk chróstu.

— To tutaj. tak wysoko mieszkasz? — zapytał król.

— Tak — odparł stary — w tamtej chacie.

— A czyby nie można napić się u ciebie mleka?

— Dlaczego nie? proszę pana.

Gdy weszli do izby, staruszek rzucił swój ciężar i przyniósł natychmiast gościowi talerz mleka.

— Smakuje ci? — odezwał się po chwili. — Pewnie jesteś jednym z tych panów co mieszkają tam na dole.

— Tak jest — brzmiała odpowiedź.

— A czemże tam jesteś?

— Królem. kochany przyjacielu.

Zaledwie to wymówił, stary wyrwał mu z rąk talerz.

— Wstydź się. żeby tak drwić ze mnie! Znam ja lepiej od ciebie mojego króla. Biłem się sam pod nim.

— A któż to jest twoim królem? — zapytał król Humbert.

— O ten! — zawołał stary, pokazując medal z wizerunkiem Wiktora Emanuela.

— No tak. ale czy nie wiesz, że on już dawno, bardzo dawno nie żyje?

— Nie żyje?! — zawołał stary i drżąc całem ciałem pochwycił dłoń króla. — Powiedz!... naprawdę umarł?... nie kłamiesz?...

— Sam się przekonaj — rzekł król i wydobył z kieszeni monetę, na której odbity był jego wizerunek.

Starowina tymczasem usiadł złamany na ławce i szlochał rzewnie: „patrzcie. umarł. umarł naprawdę, mój biedny, kochany król“...

— Nigdy — mówił dalej król Humbert do swych słuchaczy — nigdy może nie byłem tak wzruszony. jak wtedy. patrząc na ten bezdenny smutek człowieka którego nie dosięgła wcale fala życia. i który żył jeszcze dawno ubiegłemi czasami.

Jest to pouczające zdarzenie. zwłaszcza że podobnych znaleźć można więcej.

Ilekroć mówiono w towarzystwie o ludziach „sławy wszechświatowej“ lord Beaconsfield miał zwyczaj uśmiechać się ironicznie: „Czy sądzicie — mówił — że każdy niemiec zna swego Bismarka? że u nas wie każdy. kim był Szekspir. a kim jest Gladstone“. A gdy przeciwko słowom tym wszyscy głośno protestowali. zasiadał się wygodniej w fotelu. obserwował czas jakiś wypieszczone swe rece i tak mówił: „Opowiem państwu fakt. za autentyczność którego mogę ręczyć. Działo się to wtedy. gdy Napoleon I. był już od roku cesarzem. Przy jakiejś sposobności wszczęła się także rozmowa o sławie. rozbrzmiewającej po całem świecie — i wtedy to on. potężny cesarz. rzucił pytanie. czy też jest taki człowiek w całym świecie cywilizowanym. któryby nic o nim nie słyszał. Otóż człowieka takiego nie potrzeba było szukać zbyt daleko. W samym Paryżu. gdzieś na końcu przedmieścia Montmartre, znaleziono snycerza. który nigdy nic nie słyszał ani o rewolucji. ani o śmierci Ludwika XVI., ani o wielkim cesarzu!“

I o Wellingtonie, genialnym przeciwniku i zwycięzcy Napoleona opowiadają jako fakt prawdziwy epizod. świadczący dosadnie, jak zwodnicze i znikome jest pojęcie „sławy“. Generał Grant. jako były prezydent Stanów Zjednoczonych. otrzymał zaproszenie na obiad do syna księcia Wellingtona. Gdy podczas ogólnej przy stole rozmowy nastała chwilowa pauza. zwrócił się Grant z takim pytaniem do gospodarza:

— Jak słyszę, ojciec pański służył także w wojsku. Czy był w jakiej bitwie?...

Nie wiemy, co powiedział książę. a szkoda. bo byłaby to ciekawa replika. o ile w ogóle można tu było znaleść odpowiedź!...

— Któż to jest nareszcie. ten Swift. o którym się tyle słyszy? — z takiem zapytaniem zwróciła się do lady Bulwer jakaś dama z wysokiej arystokracji. — Pragnęłabym bardzo — prawiła dalej — gdyby go można było ściągnąć na moje przyjęcia.

— To będzie trudno — rzekła lady Bulwer.

— Dlaczego?

— Ponieważ Swift uczynił coś. co go wyklucza raz na zawsze z każdego zebrania.

— Ach! proszę, opowiedz mi to pani! Ciekawam bardzo... Cóż takiego zrobił? — pytała żywo dystyngowana dama.

— Umarł przed stu laty — brzmiała nieoczekiwana odpowiedź. którą lady Bulwer kupiła sobie zapewne nową. śmiertelną nieprzyjaciółkę.

Coś podobnego opowiada również Gilbert, autor libretta do „Mikada“. głośny zresztą w swej ojczyźnie powieściopisarz.

Działo się to niedawno na jakimś zebraniu w salonie prywatnym. w którym grał kilka rzeczy obecny wśród gości Leoncavallo.

— Czyje to jest? — zapytała pewna dama po wysłuchaniu utworu. który widocznie. najbardziej się jej podobał.

— Beethovena — odrzekł Gilbert.

— Beethovena? Beethovena?... Gdzie to... Czy komponuje teraz?

Odpowiedź Gilberta jest grą słów, której niepodobna przełożyć:

— No. madam. He is not composing; he is decomposing now. (Decompose rozkładać się).

Czyż przykłady te nie są jaskrawsze od opowiadań króla Humberta i lorda Beaconsfielda? I czyż po tem wszystkiem jeszcze dziwić się można. że niedawno w Slawonji jakaś deputacja postanowiła zwrócić się do „arcyksięcia Rudolfa“. albo że pewna starowinka wędruje z Sasso Alto do Rzymu. aby ucałować stopy Piusa IX?...

Gdy ujrzała obecnego Ojca Św., nie chciała wierzyć własnym oczom, bo jej Pio Nono, którego nosiła w medalionie. wyglądał zupełnie inaczej.

— Czy to on naprawdę? — zapytała szeptem.

— Tak jest. to Jego Świętobliwość.

Tego już było staruszce za wiele. „Boże. Boże — zawołała — ileż się musiał nacierpieć. kiedy się aż tak zmienił“.

Jak donosiły przed paru tygodniami pisma francuskie. mer małej wioski w Bretanii wystosował prośbę do „Monsieur le Président Sadi Carnot“: zwrócono mu ją z dopiskiem „zamordowany w Lyonie“ — i tą drogą nadeszła do owego zaścianka pierwsza wieść o zamachu.

Na południu i w krajach arabskich kursują, jak wiadomo. wciąż jeszcze talary z czasów Maryi-Teresy: każda inna moneta uchodzi za fałszywą. Wizerunek zaś cesarzowej Maryi-Teresy wyobraża w przekonaniu ludności miejscowej sułtankę białych ludzi. a każdy inny monarcha. o którym posłyszą, uważany jest za wasala i namiestnika wielkiej sułtanki i w oczach ich podnosi tylko splendor i cześć bez granic. jakiej osoba jej tam zażywa.

—

Przy spotkaniu.



— Widzisz — ja idę do kościoła a ty wracasz z balu...

— E, moja mamo — każdy ma swoje obowiązki...

Ze sali sądowej.

— Sędzia: Zaprzysiężony świadek Didoj stanowczo twierdzi, żeś pan odbierał kubany, czem pan udowodnisz. iż tak nie było?..

— Oskarżony: Przedewszystkiem, zwracam uwagę, że „kubany“, to jest wyraz włoski — przetłómaczony na polski, znaczy „kubiki“ więc jako inżynier miejski odbierałem od Didoja, który jest włochem, tylko piasek i kamienie w kubikach...

—

Trzech Budrysów galicyjskich.

(Ballada, jakich wiele).

Stary szlachcic trzech synów,
Dobrych, jak sam karmazynów
Do pokoju przyzywa i gderze:
Dość trosk przez was zaznałem,
Jeść wam darmo dawałem
W krótce djabeł mnie z wami zabierze.

Grosza dać wam nie mogę,
Na ciernistą więc drogę
Życia, radzę wam z serca, a szczerze,
Czas porzucić hulanki
Karty, wino, kochanki.
A do pracy niech każdy się bierze.

Jednemu się otwiera
W jakimś banku karjera
Gdzie brak pracy, a ładne dochody.
A po latach nie wielu
W dyrektorskim fotelu,
Doczeka się za pracę nagrody.

Na twe, synu mój drugi
Stoi prasa, usługi
Bo ty jakieś ambicje masz przecie
Więc mą radą jedyną
Jest byś został mój synu
Redaktorem przy jakiejś gazecie.

Trzeci niechaj osiędzie
Przy „Wydziale“ — a będzie
Żywot przy nim prowadził jedwabny,
Bo karjerę tam zrobi
Kogo jakiś herb zdobi
Kark ma giętki a w ruchach układny.
Bo pamiętaj me dziecie
Że w całutkim hen świecie
Ten nasz „Wydział Krajowy“ tem słynie,
Że gdy straci swe mienie
Szlachcic znajdzie schronienie
Przy „Wydziale Krajowym“ jedynie.

Przeszła jesień i zima
Synów nie ma i nie ma
Stary w głowę zachodzi i czeka,
Aż zmarszczoną brew, czoło,
Rozpogodził wesoło
Gdy usłyszał trzask bicza z daleka.

Wśród śnieżystej zamieci
Ekstrapocztą ktoś leci
Stary wita i woła w zapale
Więc osiadłeś kochanku
Na posadzie przy banku?
Nie mój ojcze, w „Krajowym Wydziale“

Wśród śnieżystej zamieci
Znowu pocztą ktoś leci
Stary wita i woła w zapale
Umieściłeś się przecie
Gdzieś przy jakiejś gazecie?
Nie mój ojcze w „Krajowym Wydziale“.

Wsród śnieżystej zamieci
Znowu do wsi ktos leci.
Ale ojciec nie pyta już wcale...
Szczęściem starca wzrok świeci,
Bo już przeczuwał że trzeci
Syn, karjery się dobił w „Wydziale“.

Wawrzyn.

—

Skąd się wziął prusak i recenzent.

Djabeł pewnego razu chciał stworzyć mor-
dercą,
Więc wziął pazury wilcze, potem lisie serce.
Potem wściekłość szakala, kawał bezczel-
ności.
Tylko zapomniał dodać drobnostki: — mi-
łości...
Więc przygniótł nos tworowi i wyrzekł ze
wstrętem:
Bądź kanaljo prusakiem no, i — recenzen-
tem!...

Grill...

—

W teatrze.



— Bój się Boga — po coś ty mnie wyciągnął! taka nudna sztuka!...

— No, rzadko bywasz w mieście — jesteś posłem...

— Otóż to, że jak się mam nudzić, to już wolę iść do Sejmu na posiedzenie...

Na ulicy.

Żebrak: Litościwy panie, choć parę cencików na kawałek chleba.

Pan: Dałbym chętnie, ale zapomniałem portmonetkę w domu.

Żebrak: To daj mi dobrodzieju swój adres, a ja ją natychmiast przyniosę.

—

Iskierki.

Roztargniony.

Pan: Czy profesor Gąsienicki mieszka jeszcze w tym domu?

Stróż: Nie panie: wyprowadził się sześć tygodni temu, i tylko wczoraj przychodził pytać się, gdzie jest jego nowe mieszkanie, bo zapomniał.

—

Szczyt grzeczności.

Pan, (na którego cylindrze usiadł inny pan). Mam nadzieję, że pan dobrodziej sobie nic nie uszkodził.

—

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni Ludwika Arbaszewskiego, ul. Słowackiego l. 4.
Illustracje odbite w litografji A. Pilatera we Lwowie, ulica Kopernika l. 17